

Warszawa dnia 15 (27) Grudnia 1865 roku.

Nr 52. | Cena w Warszawie 40 gr. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złp. kwartalnie. (Redakcja przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). | Rok I.

FRANCISZEK CZELAKOWSKI.

Franciszek Władysław Czelakowski, zmarły w roku 1852, był poetą, literatem i dziennikarzem Czeskim. Urodzony w r. 1779, rozpoczął swój zawód w czasach, gdy autorstwo w Czechach, nie mogło jeszcze zapewnić utrzymania życia, poświęconego pracy literackiéj. Długo więc za nizką płacę, wysługiwał się jako bibliotekarz, w domu prywatnym. Później dopiero w roku 1835—1837 został profesorem literatury Czeskiéj, na uniwersytecie Pragskim, i począł wydawać pismo belletrystyczne Pszczoła Czeska. Usunięty następnie od profesury i redakcji, zajął we Wrocławiu w roku 1843 katedrę języków słowiańskich; a w lat kilka potem, powołany był na powrót do Pragi, dla wykładu tegoż przedmiotu, w uniwersytecie tamtejszym.


Franciszek Czelakowski.—(Rysował Tegazzo—wycięto w drzeworytni Kółka Domowego).

Literatura Czeska, pomimo blizkiego pobratymstwa, do dziś tak mało jest znaną u nas, że uważamy za bezowocne, powtarzać tu spis dzieł, wydanych przez Czelakowskiego. Ograniczymy się tylko wspomnieniem, że w poezji celował liryką, i nabył rozgłośnéj sławy z pieśni, w swoim kraju. Prace zaś jego w prozie, wydane oddzielnie; albo rozsypane po licznych pismach perjodycznych, redagowanych przez niego lub innych, dotykały zawsze kwestji żywotnych i mających związek z badaniami, pomników ludowych. Jakoż zebrał i ogłosił drukiem, około 15,000 przysłów, wszystkich plemion słowiańskich. Pod koniec, oddał się wyłącznie filologji, i znakomite na tém polu położył zasługi.

Oprócz prac oryginalnych wierszem i prozą, Czelakowski wiele tłumaczył z języków obcych, a w téj liczbie z niektórych słowiańskich. Krótkie więc nasze wspomnienie, zakończymy uwagą, że z poetów naszych, dawniejszych i współczesnych, przekładał S. Szymonowicza, T. K. Węgierskiego, A. E. Odyńca, A. Garczyńskiego, Fr. Morawskiego i K. Brodzińskiego. A nawet z tym ostatnim zostawał w pewnych stosunkach, i przypisał mu jeden z tomów, wydanego przez siebie zbioru Pieśni ludowych Słowiańskich.

Mamy też tłumaczony na nasz język, zbiorek poezji Czelakowskiego, p. t. *Odgłos Pieśni Ruskich*, dokonany przez H. Szuman. i wydany w Poznaniu, w r. 1844 (8o XII—87). Żałować jednak przychodzi, że pobratymczy pieśniarz, zdolniejszego u nas nie wywołał tłumacza; i że tłumacz, zatrzymał się nad wyborem tego zbiorku, w którym poeta, idealizując przedmiot, mało znany sobie, nie mógł stać się prawdziwym, a ztąd wpadł w przesadę i zmarnował dary swego talentu.

Jan Prusinowski.

ŚWIĘTO BOŻEGO NARODZENIA.

Dwudziestego piątego grudnia, obchodzi kościół corocznie pamiątkę Narodzenia Zbawiciela naszego

Jezusa Chrystusa. Do téj uroczystości przygotowują się wierni dniem postu i pokuty, który się nazywa Wigilją, ponieważ w pierwszych wiekach, cała noc poswięcona była czuwaniu i modlitwie. Takie Wigilje obchodzono przed wszystkiemi wielkiemi świętami; zwyczaj onych dziś nie istnieje, wyjąwszy Bożego Narodzenia, kiedy odprawia się jeszcze nabożeństwo nocne, dla uświęcenia godziny, o któréj Zbawiciel narodził się w stajence Betleemskiéj.

W Wigilją Bożego Narodzenia, w kraju naszym, zwykle o gwiazdce, odprawia się wspólna biesiada rodziny z krewnemi, przyjaciołmi i domownikami, na wzór dawnych uczt religijnych, zwanych *agape*. Uczta takowa, dowód serdecznéj miłości, odbywa się pospolicie na zasłanem sianie, dla uczczenia Pana Jezusa w ubogim żłobku, na sianie, obok bydląt złożonego. Ucztę rozpoczyna „łamanie się opłatkiem," który proboszcz parafianom swoim posyła, a który dawne chleby poświęcone (eulogia) od ofiary zbywające, wiernym do domu przesyłane przypomina. Dziś wierni, przy łamaniu się opłatkami, składają sobie powinszowania świąt Narodzenia Pańskiego, dzieci zaś i domownicy, obdarzani bywają podarunkami, zwanemi u nas gwiazdką.

W początkach kościoła: Boże Narodzenie i Zjawienie Pańskie, czyli Trzy Króle, były naprzód łączone w jedno, pod greckiem nawiskiem Teofanii (zjawienia Boskiego), i nie w tych dniach jak teraz obchodzono. To wynikało ztąd, że nie było jeszcze jednozgodności co do dnia, którego Jezus Chrystus narodził się w pośród ludzi. Ale zdrowa krytyka, a nadewszystko regestra, gdzie były zachowane edykta cesarzów Rzymskich, wyjaśniły dzień, którego Zbawiciel przyszedł na świat; wówczas uroczystość tego chwalebnego Narodzenia oznaczył na dzień 25 grudnia Juljusz I, Papież, zasiadający na Stolicy Rzymskiéj roku 336. Ponieważ ta uroczystośćjest uroczystością wielkiéj radości, więc kościół, kiedy w piątek lub sobotę przypada, uwalnia od postu. W celu pomnożenia nabożeństwa, dozwolone są kapłanom trzy Msze święte: jedna o północy, druga na świtaniu, trzecia we dnie. Odprawianie trzech Mszy świętych jest szczątkiem starodawnego zwyczaju; gdyż Święty Leon około V wieku, mówi wyraźnie: że ten sam kapłan w znaczniejsze święta mógł odprawiać trzy Msze, ale wkrótce Aleksander II, Papież, wolność tę tylko do uroczystości Narodzenia Pańskiego ograniczył.

Trzy Msze w dzień Bożego Narodzenia, wyobrażają trojakie narodzenie Syna Bożego, to jest: Jego Narodzenie przedwieczne na łonie Ojca, Jego Narodzenie doczesne, w łonie błogosławionéj Marji Panny, i Jego Narodzenie duchowne, przez Jego łaskę w sercach sprawiedliwych,

Wielu liturgistów przywiązuje do trzech Mszy w dzień Bożego Narodzenia, inne znaczenie mistyczne. Msza śpiewana o północy przypomina nam, stan rodu ludzkiego przed przyjściem Zbawiciela; ludzie pogrążeni byli w ciemnościach, a w ciemnościach największych, jak mówi Izajasz prorok r. 9 w. 2 „*Lud, który chodził w ciemności, ujrzał światłość wielką*." Druga Msza odprawiana o świcie, przypomina nam początek czasów, kiedy prawo łaski zostało nadane; Chrystus nam je przynosił, ale nie mieliśmy jeszcze pełności téj łaski; dnia tego też kościół zapowiada nam ją dzisiaj, mówiąc. *Światłość dzisiaj zajaśnieje.* (Introit drugiéj mszy o świcie). Nareszcie, trzecia Msza, Msza we dnie: jest niejako objawieniem obfitych łask, do których Jezus Chrystus przypuszcza nas w swojem Narodzeniu, i kościół głosi o tem mówiąc: „*Maluczki narodził się nam.*"

Podczas Mszy o północy, w chwili kiedy celebrujący intonuje: Gloria in excelsis, biją we wszystkie dzwony, na znak radości, ponieważ o téj godzinie wzniosłe to pienie śpiewali aniołowie, zwiastując pasterzom pocieszającą nowinę o Narodzeniu Chrystusa; to też dla tego pierwsza Msza śpiewana o północy, nazywa się u nas *Pasterką*. Daléj następują pieśni: „W żłobie leży" i „Anioł pasterzom mówił," które swoją wzniosłą prostotą, serca wiernych najżywszą przepełniają radością.

Dawniéj uroczystość Bożego Narodzenia przez cały tydzień, aż do Trzech Króli przeciągano, czego ślad tylko w officium kościelnem pozostał. W późniejszych czasach dni cztery uroczyście obchodzono, a teraz po zmniejszeniu świąt w r. 1775, do dwóch tylko dni ta uroczystość się rozciąga. Pamiątki w dniu drugim S-go Szczepana pierwszego męczennika, w trzecim Świętego Jana Ewangelisty, w czwartym Młodzianków, z uroczystością Bożego Narodzenia połączone, są bardzo ważne i godne takiego połączenia, jako pamiątki pierwszych ofiar, przez męczeństwo Chrystusowi poświęconych.

Po Bożem Narodzeniu, chłopcy biedniejsi stroją sobie szopkę Betleemską, chodzą po domach i śpiewają wesołe pieśni o Narodzeniu Pańskiem, zwane kolendami. Kolendy takowe naśladują ton i prostotę wiejskich pastuszków, i różne dowcipki, za co śpiewający bywają uraczani małemi podarunkami.

Ks. Józef Osiecki.

KRAKOWIANKA.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 37 do 51).

— Wszak wy jesteście ojcem Piotrusia? zapytał się ksiądz pleban, siadając przy biórku, i przywdziewając okulary, do czytania jakiegoś listu, który przed nim leżał na stole.

— Tak jest, proszę dobrodzieja, odrzekł Antoni.

— Dawnoście mieli od niego wiadomość jaką?

— Na święty Michał, bez mała; pisał do mnie, że się wyprawiają do Italji.

— A potem już wam nic nie donosił o sobie?

— Nic proszę jegomości.

— Otóż widzicie, mój poczciwy Antoni, przyszedł tu list z Wenecji, od jednego parobczaka z naszéj wsi, który bardzo smutną wiadomość zawiera o waszym synu.

— O mój Boże! zawołał Antoni przerażony, zrywając się z siedzenia, i zaglądając w pisanie, choć się na niem nie znał wcale, bo nie umiał ani czytać, ani pisać.

— Lecz nie przerażajcie się tak, mój gospodarzu. Święta jest wola Pana Boga, z nią się zawsze zgadzać potrzeba człowiekowi.

— I cóż tam pisze, proszę Jegomości; może Pietrek mój nie żyje? mówił ze łzami w oczach Antoni.

— Zginął, mój poczciwy gospodarzu, zginął biedak w pierwszéj batalji.

— Oj nieszczęście też moje,— nieszczęście! wołał załamując ręce z rozpaczy, aż księdzu było markotno, że mu tak odrazu o tem powiedział.

— Ha! cóż robić, mój ojcze. Czuję ja, ile was to, jako ojca boleć musi, ale trudno. Tak się Panu Bogu podobało. Śmierć zresztą w boju zaszczytna.

— Oj Piotrusiu! mój Piotrusiu kochany! a cóżeś ty też najlepszego zrobił! Cóż ja też teraz pocznę

bez ciebie! O Matko moja najświętsza, o ratujże mię, o wspomagajże mię, mój ty dobry Boże!

— Tak, tak, mój gospodarzu, mówił ksiądz powstając ze stołka, i składając na stole okulary, wraz z listem, Bogu się tylko oddajcie, a On jako was zasmucił, i boleśnie dotknął, tak też i wzmocni i pocieszy.

— Zawezwałem was tu dla tego, bo parobczak, który to pisał, kazał mi was wyszukać, i uwiadomić o tem nieszczęściu; i byłbym był dzisiaj posłał po was do wsi, gdybyście nie byli sami przyszli. No! Bóg z wami mój gospodarzu; usiądźcie sobie, i odetchnijcie z pierwszego wrażenia. To powiedziawszy, zaczął rozmowę z płaczącym Antonim, o różnych rzeczach, uspokajał, pocieszał ile mógł, jako dobry pleban, zostawił nawet na obiedzie u siebie, aż dopiero po południu pożegnał go, odprowadziwszy nawet kawałek drogi. Antoni dziękował za dobre słowo księdza, ale z okropną i nieukojoną boleścią powracał do domu. Można sobie wyobrazić, co się tam działo w chacie Ambrożego, gdy się o śmierci Piotrusia dowiedzieli. Maryna rwała sobie włosy z rozpaczy, Ambroży nie mógł jéj niczem utulić, ni ukoić. I po cóż ja teraz będę żyła, wołała, zalewając się łzami, cóż mi po wszystkiem, kiedy mojego Piotrusia już nie ma. Oj Boże mój Boże! za co mię też tak okropnie karzesz, o Boże! I ryczała prawie z płaczu, rzucając się po łóżku, i zakrywając piękne swoje oblicze rękami. Straszne były te pierwsze chwile boleści dla Maryny, dla Ambrożego i dla nieszczęśliwego ojca Piotrusia. Że jednak w życiu naszem, trzeba koniecznie nawyknąć do smutków i gorzkiéj boleści, przeto też i tam, — po upływie pewnego przeciągu czasu..... zaczęto się ze zgryzotą oswajać, i Maryna z wybladłą twarzą patrzyła na świat milcząca.... bez piosnki na ustach, bez łzy w oku. Może jéj też i łez już nie stało. Ambroży posmutniały widokiem córki, bolał tylko ciągle nad jéj opłakania godnym stanem. Gdy się jednak oswoili już, że tak powiem, z nieszczęściem, które ich teraz spotkało; gdy Ambroży widział w Marynie zawsze nieugiętą ochotę do pracy, pomimo dotkliwych zgryzot tylu, pocieszał się w duszy, że ta prawdziwa *Krakowianka*, nie da się losowi przełamać, ale wśród największéj burzy, przecierpi, przeniesie wszystko, i zostanie nareszcie wierna Bogu, —ojcu, i ludziom dobrym. Toć też i uspokojony o nią, zaczął nawet przemyśliwać nad dalszym losem jéj życia. Chociaż bowiem pragnął za zięcia nie kogo innego jeno Piotrusia,—teraz skoro go już nie ma, mając zawsze na myśli szczęście i przyszłość swéj wychowanicy i krewnéj tak blizkiéj, upatrywał między parobkami jakiego dobrego i godnego chłopaka, któregoby Marynie za męża przeznaczył. Sądził przytem, iż kobieta,—jak kobieta,—choć pocierpi i popłacze—to zapomni i zatęskni. Do tego poszukiwania nastręczył mu się, upatrujący go już od dawna organista z sąsiedniéj wioski, właśnie z téj saméj, w któréj Antoni dowiedział się od plebana o śmierci swojego syna. Ten organista, człowiek nie pokaźny, nizki, łysy i pękaty, trochę zyzem spoglądający, o rudych włosach i niezmiernie dużym nosie, chodził już oddawna za Ambrożym, a to w interesie, którym go napompowała jego żona, baba złośliwa i sekutnica, któréj wieśniaczki dobrze się opłacać musiały serem i jajkami, za łaski u pana organisty, będącego zawsze choć w części figurą kościelną, od któréj zależą także chrzty, pogrzeby, wesela. Pan *Klawisz*, bo się tak, przez dziwne podobieństwo do swego zawodu, nazywał organista, chodził od niejakiego czasu bardzo pilnie do Krakowa, i polował tam na Ambrożego, celem wyjaśnienia mu stanu rzeczy, tak, jak go serdeczna połowica nauczyła. Chodziło tu o młodego dwudziestoletniego *Klawisza* państwa organistostwa synalka, którego jéjmość pani organiścina, uznała za godnego kawalera, bogatéj i dorodnéj Maryny. Choć to chłopka, mawiała, ale to nic nie szkodzi. Przy nas się wypoleruje, a zresztą z tym gapiem trudna sprawa. Dobrze nazywała syna; bo w rzeczy saméj był to gap' nad gapiami; nic nie umiał, i do lat 20 trudnił się kalikowaniem na chórze. Ożenić go, to jedyna sprawa, (trzepała p. Klawiszyna). Jak się ożeni, to się odmieni. Zapewne; miała racją, z gapia mógłby zostać osłem. Raz przecie udało się panu Klawiszowi złapać w Krakowie Ambrożego. Mając od swojéj żony na ten cel wyznaczoną dwuzłotówkę, w papier owiniętą i noszoną już z tydzień w kamizelce, przywitawszy się z Ambrożym, zaprosił go na szklankę miodu.

Ambrożego zdziwiła ta obcesowość pana Klawisza, którego bardzo mało znał, ale skoro pan Klawisz przedstawił mu, że ma bardzo ważny interes do niego, o którymby trzeba obszerniéj pomówić, dał się zaprosić, i poszedł z panem organistą do Wieczorkowéj, na małym Rynku, na szklankę miodu.

— Moja żona,—mówił pan Klawisz, machając rękami niby na klawiszach; to jest, właśnie ja i moja żona,—czyli, co na jedno wychodzi, moja żona i my oboje, albo właściwie mówiąc syn nasz, wyedukowany bardzo kosztownie.....

— O cóż to właściwie panu Klawiszowi chodzi? spytał się znudzony długim wstępem Ambroży.

— Chodzi mi, to jest: mnie i mojéj żonie, o naszego Facia, Bonifacka, synka.

— No, więc cóż?

— Onby rad złożyć swoje uszanowanie panu Ambrożemu.

— Mnie? W Imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go. A to po co?

— Po to, ażeby wkrótce potem oświadczyć się pięknéj pana córce.

— Cóż wy panie Klawiszu, żartujecie sobie ze mnie czy co?

— A niech Pan Bóg broni!

— A czy to moja Maryna dla takich panów, jak pański Facek, czy tam Gacek! Jéj mężem będzie chłop prosty.

— A kiedy już umarł. Requiescat in pace!

— Prawda, że ten umarł, któregom sobie życzył, ale za niego jest jeszcze nie mało w naszéj wsi parobków.

— Ha! ja nic nie wiem; ale moja żona kazała mi to wszystko powiedzieć, i jeszcze dodać, że nasz Facio będzie miał niedługo urząd oficjalisty w bogatym domu, żeby mu trzeba żony gospodarnéj; że jest pracowity, uczciwy, nie pijak, nie latawiec; że kocha waszę wychowanicę panie Ambroży, bo ją parę razy widział w Krakowie, i że mu się okropnie podobała.

Ambroży kiwał na to głową. A pan Klawisz rozszerzał się z pochwałami swojego syna, i natarczywie w imieniu żony swojéj, prosił Ambrożego, aby pozwolił do nóg upaść Faciowi, i prosić o dziewuchę. Na udowodnienie prawdy słów swoich, kazał przynosić ciągle miodu, tak, że Ambrożemu zaczęło szmerać w głowie.

— Zresztą co do tego, mój panie Klawiszu, trze-

ba nam się w domu rozmówić. Przyjedźcie do nas ze synem; a wtedy zobaczymy, co też Maryna na to powie.

— No Maryna, jak Maryna, mówił Klawisz wszystkich słów nauczony jak ministrantury; ona będzie

ność, że się czemprędzej zebrał, i pożegnawszy miłego pana Klawisza, wyruszył o zmroku do domu.

Klawisz uradowany ze spełnienia swego posłannictwa, powracał uszczęśliwiony do domu, ciesząc się, że swéj imości będzie mógł złożyć raport ze swego



Narodzenie Chrystusa Pana.—(Wycięto w drzeworytni Wiedeńskiéj Waldheima).

się opierać; ale kiedy jéj wy rozkażecie, toć usłucha. Cóż to nie pójdzie nigdy za mąż? Uwędzicie ją w chałupie, czy co?

— No—no—no; do tego ta nie przyjdzie, ale zobaczymy, później zobaczymy. Miód rozbierał Ambrożego na dobre. Miał jednakże jeszcze przytom-

interesu z Ambrożym. Wchodząc do domu, pokazał najprzód swojéj pani wywróconą kieszonkę od kamizelki, na znak, że dwuzłotówki już nie ma.

— Cóżeś z nią zrobił, ty organie, zaklekotała setna baba nad uszami małego Klawisza.

— Przepiłem.

— Dzięki Bogu. Ale z kim?

— A z kimżeby, jeżeli nie z panem Ambrożym.

— Z jakim panem Ambrożym, przemierzły pedale; cóż to, czy chłopi zostali panami u ciebie?

— Z Ambrożym, z Ambrożym, poprawiał się Klawisz; z ojcem Maryny.

— Z jakim ojcem Maryny, ty miechu przeklęty, mówiła słodziutkim głosem pani Klawiszowa. Ambroży jest stryjem Maryny, i opiekunem, a nie ojcem.

— Z stryjem Maryny i opiekunem, a nie ojcem, mówiłem.

— I cóżeś mówił ty kalikancie niezdarny?

— Wszystko, coś kazała; jeżeli chcesz to ci powtórzę: Onby rad służyć.....

— No dobrze już, dobrze. Cóż on na to?

— Bardzo dobrze. Prosi nas do siebie.

— Czyś ty zwarjował, ty gamo becząca, ja—organiścina, miałabym jechać do chłopa z wizytą!! I cożeś ty mu na to odpowiedział?

— Nic.

— A ty piszczałko dziurawa!

— Kiedyś mię tego nie nauczyła.

Taką rozmowę prowadził pan Klawisz z swoją małżonką, która nareszcie z jego opowiadania wymiarkowała, że z téj mąki nie będzie chleba. Ale postanowiła prowadzić zaczętą rzecz do końca, i dla tego postanowiła wysłać Facia do Ambrożego, aby się przyjrzał Marynie. Facio, zajęty uczeniem się ministrantury, bo jéj do 20 roku życia swego, nauczyć się jeszcze nie mógł, nie słuchał nawet tego, co rodzice o nim mówili, ale sparty łokciami o stół, dłońmi zatkawszy sobie uszy, powtarzał po tysiąc razy: *Ad Deum, qui laetificat juventutem meam.* (Do Boga, który rozwesela młodość moję). Gdy się już Klawiszowie nagadali między sobą do woli, zaczęła się rozprawa z Faciem. Matka uczyła go, co ma mówić, jak się ma patrzeć, i tego wszystkiego, czego on nie umiał, a czegoby się nigdy w życiu nie nauczył. Odłożywszy jednak dokończenie nauczania na jutro, udali się wkrótce wszyscy na spoczynek: Pani Klawiszowa dumna ze swego rozumu, Klawisz z upojenia Ambrożego; a małe 20-letnie Klawiszątko szczęśliwe, że się przestało uczyć łacińskiéj ministrantury, któréj ani słowa nie rozumiało.

W domu Ambrożego zupełnie inna odbyła się scena. Podochocony Ambroży, zaczął trochę niezgrabnie przygadywać Marynie, że czasby było, aby zapomniała o umarłych; że w jéj wieku należałoby pomyśleć o mężu, czego wszystkiego słuchała Maryna z dziwnem zastanowieniem, połykając łzy prawie bolesne, ale niepokazując stryjowi swego niezadowolnienia.

— Śpiewasz ta i śpiewasz ciągle jakieś piosenki, ale cóż, kiedy z tego śpiewania nic będzie męża. Maryna nigdy jeszcze tak mówiącego stryja nie słyszała, i pojąć nie mogła, zkąd się to wszystko wzięło.

Nazajutrz jednak Ambroży już był inny. Żałował wczorajszego wieczoru, i Marynę przywołał zaraz z rana do siebie.

— Co ja to wczoraj gadałem takiego przykrego? Maryna się zarumieniła.

— A czyby się to strasznie Maryna zgniewała na mnie, gdybym jéj naprawdę wspomniał co o mężu? Maryna zakrywała oczy łzami zaszłe, fartuszkiem.

— Już też to 23 rok mija. Czasby może było.

Wtedy Maryna, płacząc już głośno, porwała Ambrożego za rękę, i całując ją, mówiła z prawdziwem uczuciem. Stryju mój kochany; jeżeli mię kochacie, jeżeliście kochali swego brata, a mojego nieboszczyka ojca, nie mówcie o tem nigdy. Ja wam powiadam, i Bóg mi świadkiem, że szczerze powiadam; że nigdy za mąż nie pójdę, jeżeli mój Piotruś nie żyje.


Powitanie i radość w chacie Antoniego,—(str. 418, szp. 2).
(Rysował Tegazzo,—wycięto w drzeworytni Webera w Lipsku).

Ambrożemu żal się zrobiło Maryny. Poznał swój błąd i postanowił się poprawić. Więc jakto, ty nie wierzysz, że on zginął.

— Moiściewy drodzy, ja nie wiem, zkąd mi to przyszło, ale od kilku dni, mnie się ciągle zdaje, że on żyje, że on tu wróci niezadługo.

— Boże! mój Boże! co się też tobie, moje dziecko zdaje!

— Mnie się wszystko zdaje, mówiła daléj Maryna, że on może leży gdzie w szpitalu i dla tego nie pisze do nas; że temu parobkowi, co pisał o nim, przywidziało się tylko, że on zginął. Ale on żyje, mój stryju, żyje, i proszę was nawet o to, abyście się dobrze o tem wywiedzieli w Krakowie.

— Przecież Antoni musiał się pytać o to w urzędzie?

— A pytał się, pytał, ale mu odpowiedzieli, że pewno zginął, jednak, że wiadomość o nim nie przyszła do urzędu.

Ambrożemu dziwne myśli zaczęły chodzić po głowie. Przestał rzeczywiście mówić z Maryną o zamęźciu, ale z Antonim razem, dokładał wszelkich starań, aby się wywiedzieć o Piotrusiu.

Aby zaś czytelnika nie trudzić dłużéj domysłami i obawą, o los poczciwego Piotrka, który i w wojsku będąc, nie przestał być dobrym chłopcem, i kochającym ojca i Marynę, powiedzieć tu musimy, iż wieść nadeszła o jego śmierci, była nieprawdziwą, gdyż on w rzeczy saméj nie zginął, ale raniony w nogę, dostał się do francuzkiéj niewoli. Długo o nim ani w urzędzie nie wiedziano, i dla tego też Antoni nie mógł nic innego przypuszczać, jak tylko to, że zginął. We dwa miesiące dopiero; gdy przyszedł do siebie, chociaż nie mógł już odbywać marszów, dano znać o nim do wojskowéj władzy, która jako o żyjącym nie potrzebowała donosić do Krakowa. Po skończonéj wojnie, powróciwszy na ziemię austryac-

ką, został uznany za niezdatnego do dalszéj służby, i gdy mu resztę lat darowano, przesłanym był do miejsca urodzenia. Rzecz szczególna; iż w téj chwili właśnie, gdy Maryśka, zapewniała stryja swego, że on żyje, Piotruś wysiadał z wozu na żeleźnicy w Krakowie, i o kuli pośpieszał do miasta, aby się z kim zabrać do domu.

Co do pani Klawiszowéj, to jeszcze jest tutaj do nadmienienia, że ta złośliwa baba, dowiedziawszy się o śmierci Piotrusia, postanowiła gwałtem swojego głupiego synalka ożenić z Maryną; lecz to jest pewną rzeczą, że w parę tygodni potem przyszedł list inny, donoszący że *Piotruś podobno żyje*, i że o tym liście zamilkła naumyślnie, złośliwa intrygantka, i od tego dopiero czasu, posyłała męża z wyuczoną oracją do Krakowa, aby tam Ambrożego spoił, i wymógł na nim słowo dla Facia. Podła intryga nie udała się niedobréj babie, i synalek jéj, dotąd jeszcze uczy się po całych dniach i wieczorach łacińskiéj ministrantury.

Piotruś, o którego życiu dobrze serce Maryny przeczuwało, pośpieszył na Szczepański plac czemprędzéj, i szukał między furami znajomego jakiego parobka. Było ich tam na szczęście dwóch, a między niemi jeden Janek ów, co to ze szmigustem chodził.

— Czy mi się przywiduje, czy co? mówił patrząc na przechodzącego koło fury Piotrusia, w starym, łatanym żołnierskim płaszczu.

Piotruś go poznał. Ucieszył się; nie mówił jednak nic, jedno stanąwszy przed nim.

— A dyć to Pietrek!!....

Piotruś uśmiechnął się z radości.

— O! rety! wołał wtedy Janek, zawsze wesoły, a dyć tak, a nie inaczéj. Toś ty Pietruś, panie wojak. I rzucił się na niego w uścisku przyjacielskim, i pocałowali się serdecznie.

— A gdzież ci to nożysko potłukli? mówił ostygając w wesołości, i przechodząc w spółczucie nad kaleką.

— Opowiem ci potem. Teraz mój Janku, powiedzże mi, co tam u nas słychać?

— A cóżby, mówił Janek śmiejąc się znowu, i dotykając się rękami Piotrusia. Więc to ty żyjesz bracie. A tam to u nas wszyscy pewniuteńcy, żeś ty umarł.

— Ktoż to powiedział?

— A przyszedł list. Było płaczu wiele, i zmartwienia co nie miara. Biedne ojczysko twoje, nie mogło sobie dać rady.

— Ale żyje, zdrów!

— Dzięki Bogu zdrów teraz, ale strasznie sturbowany, to się też to ucieszy, jak cię ujrzy. Ale, ktoś jeszcze ucieszy się okropnie!

— Maryna!? zdrowa?

— Zdrowa także, dziękować Bogu, ale od pół roku to i nie zagada do nikogo.

Tak jeszcze porozmawiali ze sobą. Janek wreszcie zaprosił Piotrusia na kawę, do kawiarni na Szczepańskim placu, zagrzali się, i siadłszy na wózek, pognali żwawe szkapiny, co tchu do domu. Przez drogę Piotrusiowi nie raz oczy zachodziły łzami, gdy rodzinne rozpoznawał strony, i przypominał sobie każdy kącik, każdy kawałeczek ziemi, na któréj bawił się, tęsknił i kochał.

Piotruś, choć przez sześć lat był w wojsku i pomiędzy różnemi ludźmi, nie oziębił jednak swego serca, nie stracił nic z swojéj poczciwości, nie zapomniał mowy ojczystéj, ani jéj nie zepsuł,—jako zwykle zdarza się innym parobkom, służącym w wojsku tak długo; ale był dzisiaj takim samym, jakim odszedł przed sześciu laty, i tęsknota za krajem rodzinnym, za ojcem i za Maryną, zrobiła z niego jeszcze czulszego parobka. Wojsko wykształciło go i podniosło do godności obywatelskiéj, bo i w wojsku, kto zechce, dobrym być może.

To też biło mu serce głośno, i w duszy niewypowiedziane rodziło się szczęście, gdy powracał do ojcowskiéj chaty. Wiedział, że wszystkich zastanie, bo się Janka o wszystko wypytał, wiedział, że Maryna dochowała mu miłość stale, więc wracał szczęśliwy, wesoły, z ochotą do pracy, i nadzieją w Miłosierdzie Boga, którego łaska miała mu teraz wszystkie troski i gorzkie chwile żywota, osłodzić i nagrodzić.

Powitania i radości w chacie Antoniego i Ambrożego, opisywać nie będziemy; każdy sobie łatwo wyobrazić może, jakie tam płynęły łzy, jakie okrzyki, uciechy i szczęście zawitało. Maryna odmłodniała, i wyzdrowiała jak rybka,—Ambroży cieszył się jak dziecko, a *Piotruś*, nie mógł się dni kilka rozpoznać w swojem szczęściu. Noga jego, która nie była złamana, opatrzona przez najlepszego doktora z Krakowa, ś. p. Bierkowkiego, (który już niestety! nie żyje), przyszła do siebie, — i po miesiącu, zdrowy i wesoły, jak Janek, wraz z Maryną, Ambrożym i ojcem swoim Antonim, szli w świątecznych strojach do Krakowa, do kościoła na Piasek, gdzie, wysłuchawszy mszy świętéj przed Matką Boską cudowną Karmelitańską, udali się wszyscy do księdza. Po co? Niech się każdy domyśli, ja zaś na zakończenie mego opowiadania tylko tyle jeszcze powiem, iż w trzecią potem niedzielę, w chacie Ambrożego, hucznego mazurka słychać było, a drużbowie osadziwszy pannę młodą na dzieży, śpiewali znaną pieśń o *chmielu*.

A późniéj zaś znowu, gdy wesołego zagrali, gdy się oczepiny skończyły, zaśpiewał Piotruś do Ambrożowéj:

A moja pań—matko,
Szanujcież też zięcia,
Żebym wam nie bijał,
Waszego dziecięcia.
Żebym go nie bijał,
Gorzałki nie pijał,
Do karczmy nie chodził,
Za łeb go nie wodził.

Domyślacie się przeto, że to było wesele Maryny z Piotrusiem, po którem oboje uszczęśliwieni, osiedli na gospodarstwie Antoniego, do którego dołożył im sporo pieniędzy Ambroży. Maryna przeto stała się w końcu szczęśliwą, choć dużo miała w swéj młodości strapienia; ale dla czego? Oto dla tego, że wszystkie przeciwności znosiła z wiarą w Bogu, że była prawdziwą, szczerą Krakowianką.

Jan Kanty Turski.

CZŁOWIEK.

Ilekroć razy oko napotka wybladłą twarz nędzarza lub zrozpaczone a dzikością i czelnością tchnące lice nędznika, ilekroć razy w uchu zajęczy bolesny szept zgłodniałego, lub zatętni wrzaskliwy wykrzyk szaleńca, ilekroć razy potknie się noga o człowieka czychającego z zemstą lub nienawiścią w sercu na bliźniego swego, lub też człowieka w osłupieniu

i obojętności żywot marnującego, tylekroć razy po zwykłem w takich wypadkach uczuciu litości lub grozy, wybija się zawsze w nas to niezłomne przekonanie, że i ten nędzarz i nędznik, zgłodniały i pijanica, dziki zemstą i zbydlęcony bezczuciem, są takimi tylko jakimi sami się uczynili, dzielą stan, jaki sami sobie przygotowali, sami są twórcami swego losu. Bóg obdarzył człowieka *wolną wolą*, wolna wola czyni człowieka zawisłym tylko od siebie. Święty Augustyn powiedział: „Bóg stworzył człowieka bez człowieka, ale zbawić człowieka bez człowieka nie może.” Zbawienie człowieka, udoskonalenie człowieka, uszczęśliwienie człowieka, od czynów samego człowieka zależy, a czyny znowu są wolnéj woli wypływem. Od pierwszego kroku pierwszego człowieka aż po dni nasze, człowiek i ludy idą zawsze i działają zawsze wyłącznie podług swéj woli. Żadna wyższa siła, wtrącić się do działalności człowieka i ludów nie może, bo to wdanie się byłoby już poniżeniem natury człowieka, byłoby uzwierzęceniem i zabiciem wolności człowieka.

Przesadna pobożność, miłość własna, lenistwo ducha i brzydackie sobkowstwo, utworzyły nowego bałwana *losem* przezwanego. I człowiek pojedynczy i społeczeństwa całe rzucają pracę, zapominają o energji, wyrzekają się wytrwałości i godności własnéj, a gdy nieunikniona nędza ich nawiedzi, gdy boleść serca ich ściśnie, a zgroza krew im w żyłach zlodowaci, wówczas miasto sami siebie obwiniać o te zgubne skutki, wołają, krzyczą i płaczą: „To inni temu winni, tak Bóg chciał, tak Bóg nas nawiedził, już to los nasz taki!” Niebaczni!—jakież mają wyobrażenie o Bogu, On—co jest Najwyższą doskonałością, On—co pragnąłby, by ludy wszystkie jak najprędzéj, także do takiéj doskonałości przyszły; On miałby chcieć, by niedola świat ciemiężyła? by fałsz w wszechświecie panował? Ci wszyscy, którzy Bogu przypisują nieszczęścia, są bluźniercami tegoż Boga.

Bogactwo materjalne, wykształcenie umysłu i serca, byt od łaski innych niezależny, jest zawsze wynikiem naszych tylko czynów, jest zawsze przez nas samych zdziałany. A ten byt, to bogactwo i to wykształcenie, zarówno stosują się do pojedynczych ludzi jak i do spółeczności całych. I inaczéj być nie może. Spółeczeństwa składają się z pojedynczych ludzi. Otoż jeżeli człowiek wchodzący w skład społeczeństwa będzie złym, ubogim lub ciemnym, to i społeczeństwo musi być także w maleńkiéj części złe, ubogie i ciemne. A im więcéj w jakiem społeczeństwie będzie ludzi złych, ubogich lub ciemnych, tem więcéj i w łonie społeczeństwa będzie tych wadliwych części, czyli, że tem więcéj społeczeństwo będzie złe, ubogie lub ciemne. I na odwrót znów, im więcéj w społeczeństwie będzie ludzi szlachetnych, możnych i światłych, tym i społeczeństwo będzie szlachetniejsze, oświeceńsze i potężniejsze. Pomyślność kraju, która nam zawsze na sercu leżeć powinna, jedynie tylko od nas samych zależy. I nie ten miłuje ziemię swoją, kto mówi: „ja ją kocham,” a żyje sam jednak w próżniactwie i w ciemnocie, lecz ten ją miłuje prawdziwie, kto w czoła pocie pracuje na chleb, na zaoszczędzenie grosza i na oświecenie umysłu.

Na los tylko próżniak liczyć może. Majątek jeżeli ma przysługiwać dzieciom naszym, powinien być z pracy uczciwéj zebrany; pomyślność jeżeli ma być trwałą, powinna być przez nas samych zbudowaną. Inaczéj majątek, jak bańka rozpryśnie; pomyślność jak badyl, lada wietrzyk złamie i zniweczy. Zdarza się wprawdzie czasem, iż krętemi chodząc ścieżkami, bogactwa zebrać można, ale bogactw tych wnukowie już nie odziedziczą, bo *male parta* idzie do czarta. I zdarza się także czasami, iż los, fortuna, lôterja obdarzą kogoś zamożnością; ale zamożność ta prawie zawsze marnie pełznie, bo co lekko przyszło to i lekko poszło.

Więc nie wzdychajmy do bogactw, które z za morza na nas spaść mają; nie liczmy na los, bo los każdego zawodzi, ale powiedzmy sami sobie szczerze i serdecznie; los mój odemnie samego zależy, i dla tego też starajmy się pracą, usilnością i zacnością, los ten uczynić jak najznośniejszym.

Aleksander Makowiecki.

ROZMAITOŚCI.

— Z pism dla ludu miejskiego i wiejskiego wydawanych w Warszawie, mających zarazem na celu obrazować i uzacniać stosunki rodzinne, oprócz naszego *Opiekuna Domowego*, wychodzą dotąd w Warszawie dwa inne, a mianowicie czysto ludowe *Kmiotek*, i przeważnie rodzinom Polskim, a mianowicie niewiastom poświęcone, noszące tytuł *Rodzina*.

Kmiotek, ma przeszłość za sobą. Staranność Redaktora Władysława *Anczyca*, postawiła pismo to na stanowisku, prawdziwie pożytecznego dla kraju organu, niesie on wiadomości różnego rodzaju pod strzechy włościańskie i przyznać należy, że godnie odpowiada założeniu swemu. W przyszłości, jeżeli radzić wolno, życzylibyśmy sobie widzieć w Kmiotku, bardziéj rozwiniętą stronę utylitarną, a mianowicie techniczną, zwłaszcza też gospodarską, bo Kmiotek Polski przeważnie jest rolnikiem.

Rodzina, wydawana od 1 lipca r. b., pod redakcją Aleksandra *Makowieckiego*, jakkolwiek jeszcze za mało miała czasu do wprowadzenia w wykonanie programu swego, z tego jednak co dotąd wyszło, jasno widać, że pismo to, poświęconem jest sprawom rodzinnym w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Czytaliśmy w niéj kilka prac pierwszorzędnych pisarzy, jak np. I. T. *Jeża*, Ks: *Serwatowskiego*, i autora Kłopotów starego komendanta, oraz niewiast Polskich, jak Machczyńskiéj, Wilkońskiéj, Marczewskiéj i innych dzielnie wykazujących, że pismo to z niezachwianą ufnością dąży do utrzymania moralności w rodzinnych kółkach naszych. Od nowego roku, o ile wiemy, Rodzina zmienia kierunek na bardziéj pedagogiczny i będzie przyozdabiana illustracjami.

— Z nowym rokiem powstaje wreszcie nowe pismo dla ludu miejskiego i wiejskiego, pod redakcją Józefa *Grajnerta* wychodzić mające, a noszące tytuł *Zorza*. Serdecznie witamy tego nowego współpracownika, na polu piśmiennictwa ludowego. Zorza będzie pismem niedzielném; jak prospekt objaśnia, główny nacisk redakcja kładzie na wyzwolonego włościanina, któremu w pracy zbawienie i byt niezależny zapewnia. Powiada daléj, że główną podstawą społecznéj oświaty jest religja i rodzinna moralność. Na téj drodze Zorza zamierza pracować w winnicy oświaty krajowéj. Zadanie wielkie; program obszerny. Szczęść Boże i błogosław zacnym zamiarom Redaktora, który i od nas jako współtowarzysz na tem samem polu na jakie Zorza wstąpić zamierza, jako współpracownik Opiekuna Domowego, niech raczy przyjąć życzenia wszelkich pomyślności w nowem powołaniu, i aby

ziarna jakie siać zamierza, niepadły na twardą opokę obojętności tych, co wzorować właśnie przykładem swym młodszéj braci powinni.

— W Indjach zwierzęta najmniejsze, owady, nawet mrówki, mają swoje opiekuńcze szpitale i domy ochrony.

— Niejednokrotnie wspominaliśmy w Opiekunie Domowym o potrzebie rozpostarcia opieki nad ciężko pracującemi zwierzętami, współtowarzyszami pracy ludzkiéj. Niestety, dziś nam przychodzi zanotować bolesny fakt, że w jednym dniu w początkach tego miesiąca w Warszawie, po nastałym mrozie i ślizgawicy, *dwadzieścia siedm* koni: to zabiło się, to połamało nogi, tak, że czyścicielowi miasta oddane być musiały. Jakże widoczny brak opieki że strony ludzkiéj, jaka obojętność na szkodę własną, kiedy nawet podkuć koni się niechciało.

— Nakładem Dyrekcji Dziennika Warszawskiego, wyszła dwutomowa powieść J. K. Miniszewskiego, p. n. *Ciernie kwinące*, z drzeworytami rs. 1 kop. 25. Głównem tłem powieści, zawierającéj wiele scen dramatycznych, jest byt urzędnika publicznego, wycieniowany z możliwą dokładnością, może niekiedy zbyt jaskrawie.

— *Agesilaus*, na zapytanie: czego się mają uczyć dzieci? odpowiedział: „Co mają robić, jako dorośli."

ZIMA.

Jakże to świeżo i ładnie,
Kiedy mróz ściśnie grunt grząźki,
I tęczowemi gałązki,
Na szyby okien się wkradnie.

Wtedy na rękach piastunki,
W cienkiéj koszulce swéj dziecię,
Patrzy jak ślicznie na świecie,
Jak cudne zimy rysunki...

Bo w czystéj, jasnéj alkowie,
Są drwa i ciepła dostatek,
Dla ojca, matki i dziatek,
Bo tam mieszkają.... panowie.

Lecz bywa—świat się zachmurzy;
I mroźnym wichrem uderzy,
I w ciepłéj nawet odzieży,
Nie śmie nikt spotkać téj burzy.

Świat wzdycha w strasznym po- [wiewie,
Jakby bez Niebios opieki,
Wyją psy, wilki, grzmią rzeki,
Ptaszek zamiera na drzewie...

Jakoż tam wtedy w tym kątku,
Kędy przez okno klejone,
Mróz wpycha wichry szalone.
Gdzie także... nucą dzieciątku?

Jakoż tam?!.... Wstańże wstań [z puchu,
Ty, co masz złota tak dużo,
Osłoń te kwiaty przed burzą,
Gdy chcesz być wesół na duchu...

Wnieś tam choć krótkie wesele,
Rozgrzéj krew matki stężałą.....
Ach, czemuż serca tak mało.
A biednych ludzi tak wiele!

Józef z Mazowsza.



Zima.—(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Walter)

Koniec Roku I-go 1865.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — *Redaktor*, Adam Mieczyński.

OPIEKUN DOMOWY

Nr 51.

…20) Grudnia 1865 r…

…a prowincji na stacjach pocztowych…
…Leszno i Solnéj pod Nr. 715).

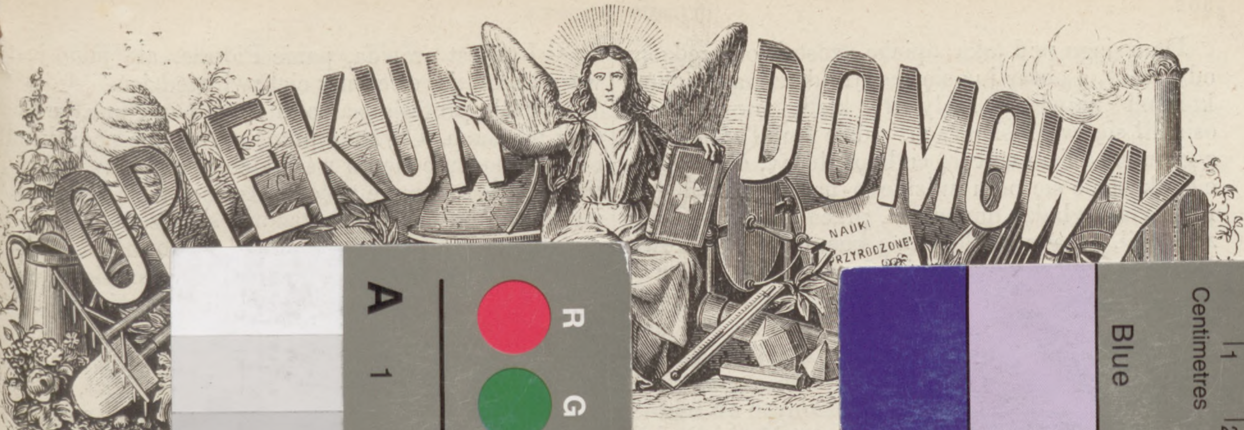
TREŚĆ.—Wig… z Biskup Jan Albertrandy, prze… powieść z życia l… …, z drzeworytem). — Gwiaz… w puszczy; pamięt… …a Starkla, (dokończenie, z dr… (z drzeworytem).



Wycięto w drzeworytni Ty…

WIG…

Wyraz ten: *wigilja*, pochodzi z łacińskiego i znaczy, straż, czuwanie. W dawniéjszych bowiem wiekach, przed każdem uroczystem świętem, zgromadzali się wierni do kościoła, gdzie na modlitwie, śpiewaniu pobożn… …tych, całą noc przepędzali. Ale gdy z czasem na tych czuwaniach, dziać się zaczęły nieporządki i zgorszenia, Papieże znieśli ten zwyczaj; jednakże wigilij całkiem nie znieśli, owszem naznaczyli, kiedy mają być obchodzone; przepisali na nie stosowne nabo-



Nr 38. … Września 1865 r…

…iesięcznie. — Cena n… … 5 złotych kwartaln…

OBRAZ…

Przodkowie… bożeństwo do… nych miejscach… ma ta Królowa Nieba poświęcone czci swojéj świątynie i kaplice, a w wielu zasłynęła cudami i stała się przedmiotem gorących modłów i tłumnych pobożnych pielgrzymek.

Do takich obrazów cudownych, należy znajdujący się w Myślenicach, o 4 mile od Krakowa, w Galicji Austryjackiéj, a którego wizerunek tu podajemy. Historja jego w krótkich słowach jest taka:

Namalował ten obraz słynny po wszystkie czasy malarz Włoski, Rafael, którego utwory niezmiernie drogo opłacane, zawsze jednostajnie dla siebie wzbudzają uwielbienie. Szczególnie odznaczył się ten mistrz niezrównany w malowaniu Madonn czyli obrazów Matki Boskiéj; wiele z nich przechowują jako świętość po najbogatszych muzeach czyli zbiorach rząd-

…ości. Jednocześnie…
…apież Syxtus V, …
…pasterza bydła, p…
…ywot doszedł aż do…
…ka Chrystusowego…



… Myślenicach, w Galicji.
… drzewie Zabłocki).

przedmiotów jakie w… dowały się. Takiemu spaleniu tylko co nie uległ wspomniony obraz Matki Boskiéj, który wyprosił dla siebie niejaki Grabysz Marcin mieszczanin, w swoim domu umieścił i największą czcią otoczył.